Rozmaitości

Dnia 29. lipca **N**ᵉʳ. **30.** 1831 roku.

U r o j e n i e.

(Wyjątek z powieści fantastycznych E. T. W. Hofmanna.)*

»Wesoło jest przechadzać się na placu pod lipami, tylko nie w nocy ś. Sylwestra**) podczas tęgiego mrozu i gęstego śniegu. A ja właśnie doświadczyłem tego sam na sobie przechadzając się bez kapelusza i płaszcza, gdy zimny pot oblał mię całego, a febra wypędziła z domu. Szedłem spiesznym krokiem przez most opery; zatrzymałem się na myśliwskiéj ulicy przed kawiarnią Tiermanna. Światła jarzące jaśniały w sali; miałem już wéjść, bom przeziąbł zupełnie, i pragnąłem przełknąć porządną dozę jakiego trunečzku; w tém z hałasem wypadło z tamtąd kilku dobrze podchmielonych. Rozmawiali o wybornych ostrygach i reńskiém winie, jeden z nich, jakem przy świetle latarni spostrzegł, oficer ułanów, zawołał: »bo i szłusznie przeklinano tych niegodnych Francuzów, kiedy nie chcieli opuścić brzegów Renu!« I śmiać się zaczęli na całe gardło. Mimowolnie postąpiłem kilka kroków naprzód i stanąłem u winiarni, gdzie wciskało się słabe światełko. Widzimy u Szekspira, jak Henryk V. był raz tak upokorzony, tak biédny, że nędzny podpiwek przyszedł mu na myśl. Toż się i mnie trafiło; suchy język pragnął porteru, lub wódki. Żwawo wskoczyłem do winiarni: »Co wćpan każesz? poufale zapytał gospodarz, zdejmując szlafmycę. Prosiłem o butelkę porteru i fajkę dobrego tytuniu, i w krótce takiego nabrałem humoru, że drwiłbym był z samego djabła, gdyby mu się w téj chwili kusić mnie zachciało. O panowie radzcy sprawiedliwości i skarbu! Gdybyście widzieli, jak unikam waszych salonów pysznych i w tym skromnym sklepiku szukam schronienia; wzgardąbyście zapłacili za moje nizkie ukłony, zrzeklibyście się na zawsze opieki swéj nade-mną!

»Naturalnie, gość bez płaszcza i kapelusza, musiałem się wydać bardzo dziwacznie. Pytanie było już na języku u gospodarza, lecz w tém ktoś zastukał w okno i głośno zawołał: »otwórzcie, to ja!« Gospodarz wyszedł, i zaraz powrócił z dwiema świecami w ręku; za nim szedł jakiś suchy, wysoki człowiek. Zapomniał uchylić się wchodząc przez nizkie drzwi i mocno uderzył głową. Czarna czapka, nasunięta na oczy, ochroniła łeb jego od stłuczenia. Przemknął się tajemniczym sposobem około ściany, usiadł na przeciwko mnie, a świece postawiono na stole. Na surowéj twarzy malowało się nieukontentowanie. Z gniewem kazał podać piwa i fajkę, i niekiedy gęste wypuszczał dymu kłęby, które nas zakrywały jakby obłokiem. Z tém wszystkiém w jego fizyjonomii było cóś charakterystycznego i ujmującego; podobała się ona pomimo posępnego wejrzenia. Gęste czarne włosy, rozczesane na dwie strony, spadały po bokach w małych kędziorach,

*) Umarł niedawno w Berlinie.
**) Dnia 31go grudnia.

co mu nadawało podobieństwa do portretów Rubensa Zrzucił płaszcz, ujrzałem na nim kurtkę szemerowaną; wpadły mi także w oko ozdobne pantofle, włożone na boty. Nie prędko zawiązała się między nami rozmowa. Jak widać, mocno był zajęty mnóstwem rzadkich roślin, które wyjął z blaszanego futerału. Okazałem podziwienie nad tak rzadkiémi i pięknémi roślinami, zapytałem, czy nie są z botanicznego ogrodu, bo się zdawały świeżo być zerwane.

Uśmiéchnął się szydersko: »Podobno pan nie nader jesteś biegły w botanice, inaczéj nie zadałbyś pytania tak...

Tu się zatrzymał. »Tak głupiego?« dodałem półgłosem.

»Zaiste« odpowiedział, »Gdybyście lepszą mieli téj nauki znajomość, zgadlibyście na piérwszy rzut oka, że to są alpéjskie rośliny, na górze Szimboraso rosnące.«

Mówił to niby do siebie, ale łatwo sobie wystawisz, jakie wrażenie te słowa uczyniły na mnie. Pytanie na mych ustach zamarło, nie spuszczałem go z oka, zdawało mi się, że jeźlim go i nie widział, to przynajmniéj roił się on często w imagnacyi mojéj. Znowu zapukano do okna; gospodarz drzwi otworzył, aż ktoś zakrzyczał: »zakryć źwierciadła.« — »Oho!« rzekł gospodarz, »jenerał S. poźno dziś przychodzi.« Zakrył zieloną kitajką dwa źwierciadła, zawieszone w izbie, i wnet chudy, maleńki człeczek wskoczył, a raczéj wpadł do winiarni. Zaczął wzdłuż i w szérz przechadzać się po izbie, a ciemny płaszcz jego w tak dziwaczne składał się fałdy, iż przy świécy roiło mi się, jakoby kilka ciał oddzieliło się jedno od drugiego, podobnie jak w fantasmagoryi. Przechadzając się i podskakując, tarł ręce ukryte w szerokich rękawach, i powtarzał: »zimno i bardzo zimno, dalibóg zimno! to nie we Włoszech!« Potém usiadł między mną a wysokim mężczyzną: »Aj, aj,« zawołał, »jak tu dymno! No, tytuń za tytuń, dobrzeby zażyć.« Miałem w kiszeni stalową polerowaną tabakierkę, którą mi darowałeś; natychmiast ją dostałem, żeby go poczestować tabaką; ale zaledwie spojrzał na tabakierkę, wnet zakrył ją oburącz i odtrącając, wrzeszczał: »Schowajcie, to źwierciadło.« W jego głosie wydawała się okropność; podniosłszy oczy, ujrzałem zupełną w nim odmianę. Człeczek ten wszedł z młodą i łagodną twarzą, w téj zaś chwili, gdy patrzał na mnie, oczy jego były zapadłe, twarz blada, marszczkami pooi ana, jak u starca. Cofnąłem się przelękniony aż do wysokiego jegomosci; lecz on nie zwracał najmniejszéj uwagi na to, co sie działo, zagłębiony w rozpatrywaniu roślin z góry Szimboraso. Maleńki kazał dać wina, rozmowa ożywiła się znowu. Było coś w nim wstręt rodzącego; przeciwnie wysoki rozmawiał z takim dowcipem i gruntownością o rzeczach małéj na pozor wagi, umiał myślom swoim tak oryginalne nadawać wyrażenie, iż nie można go było słuchać bez rozkoszy. Drugi nasz towarzysz cały był na sprężynach, bez ustanku posuwał swoje krzesło i w różne strony machał rękami.* Zimny pot lał się ze mnie, widziałem jasno, że miał dwie zupełnie odmienne twarze, często przybiérał zgrzybiałe rysy, wpatrywał się w wysokiego, którego nieruchome i spokojne oblicze stanowiło wyraźną sprzeczność z jego nadzwyczajną żywością. Na długiéj maskaradzie życia zdarza się niekiedy, iż człowiek zrazu zrzuca maskę i prawdziwą twarz swoję odkrywa. Nas troje, oddzielonych od całego świata w téj winiarni, rzuciło wszelki przymus; bez ogródek gadaliśmy o wszystkiem, cokolwiek udręcza ludzi; te myśli naturalnie doprowadziły nas z kolei do rozmowy o śmierci.

»To gwoźdź« rzekł wysoki, »za który zaczepić się trzeba jak można najpoźniéj.«

— »O Boże!« odpowiedziałem, »wieleżto gwoździ rozrzucił djabeł wszędzie na naszéj drodze. Na ścianach cichych naszych kryjówek, na drzewach pokrywających nas swym cieniem, na zielonych łąkach, na kwiatach woniejących, wszędzie zachowujemy choć drobną cząstkę samych siebie. Takim sposobem każdy z nas, panowie, utracił cobądźkolwiek. Ja, jak widzicie, téj nocy ukończyłem rzecz na płaszczu i kapeluszu, które pozostały w przedpokoju przyjaciela mego, radzcy sprawiedliwości.«

I nizki i wysoki zrobili poruszenie, jakby niespodziewanym ciosem rażeni; nizki

porwał się z krzesła, żeby poprawić kitajkę, okrywającą źwierciadło, drugi zaś troskliwie ucierał świece. Rozmowa nie rychło się odnowiła; zaczęto mówić o malarzu Filipie, który ukończył nie dawno portret jednej księżniczki, w której sam się kochał.

»Podobieństwo w nim nadzwyczajne, ale idealne,« rzekł wysoki; »bo też to nie jest portret, ale odbicie się jej twarzy.«

— »Bardzo słusznie,« odpowiedziałem, »można powiedzieć, że skradzione w źwierciedle.«

Nizki porwał się z miéjsca, podskoczył i rzucił gniewne spojrzenie: »To głupio, bardzo głupio!« krzyknął, »Któż kiedykolwiek kradł wyobrażenie w źwierciedle. Kto tego dokaże? Czy djabeł? He, bracie, bredzisz ni w pięć, ni w dziewięć. Pokażcie mi wyobrażenie, któreby można było od źwierciadła oddzielić, a pozwolę wyliczyć sobie sto batów twoją ręką, posępny towarzyszu!«

Na te słowa wysoki zdjął ze ściany źwierciadło i zbliżył do niego.

Ale w źwierciedle nic się nie odbiło; widać było tylko twarz gospodarza, który stanął z tylu za nizkim.

»Aha!« wrzasnął okropnie nizki, »ty mię chcesz poniżyć; lecz jeźli ja straciłem swe wyobrażenie, mam cień przynajmniéj.«

To rzekłszy pędem wybiegł z izby; słychać tylko było jak wołał, biegąc przez wschody: »ja ma cień! ja mam cień!«

Wysoki padł na krzesło, blady i przelękniony. Zakrył twarz obu rękami i westchnął głęboko.

— »Co się to stało?« zapytałem.

»Ach! panie, ten zły człowiek wszędzie mię prześladuje; umié mię wyśledzić w najskrytszych zakątach, na górach, kędy sam jeden przebywam, kiedy w mojém schronieniu jest tylko jeden jenijusz domowy, który wychodzi z ziemi pod stołem i zjada moje okruszyny. Ten człowiek stracił wyobrażenie siebie, a mnie ściga; bo ja straciłem swój.... Bądźcie zdrowi!«

Wstał i poszedł ku drzwiom. Świéce paliły się jasno do koła; on atoli nie rzucił za sobą cienia; osłupiały poszedłem za nim, ale gdy chiałem powrócić do izby, gospodarz zatrzasnął drzwi przed samym nosem, mówiąc: »Niech mię Bóg strzeże od podobnych gości.« —

Pojedynek w Polszcze.

Lubo prawa o pojedynkach w Polszcze bardzo ostre były, wszelako charakter wojenny Polaków okazywał się przy każdéj sposobności, gdzie honor swój nadwerężonym być uważali; ani więzienie, ani wygnanie w ogromne puszcze Kamczatki nie mogły wstrzymać ich od tego, co za obowiązek swój mieli. Najwięcéj zaś ci wojownicy wyszczególniali się nieprzyjaźnią ku Rossyjanom i charakterem wojennym, których bohatyr wieku tylekrotnie do zwycięztw prowadził, a którzy po upadku jego powrócili tylko ze wspomnieniami o nim i o nieszczęśliwéj ojczyznie swojéj.

Pewien młody oficér dawnéj gwardyi lansyjerów, nie dawno do familii przybyły, lubo jeszcze słabował na rany, za nieszczęścia wojny miał być jednak rozkoszami małżeństwa wynagrodzony. Zaręczony z jedną z najpiękniéjszych córek ojczyzny swojéj, posiadającą wszystkie przymioty, szczęście mu zapewniające, przyjemnéj wyglądał przyszłości, gdy na raz kabała piekielna pogrążyła go w trwogę rozpaczy. Przedmiot miłości jego zniknął bez śladu i ani domyśliwano się, dokąd.

Trzy miesiące na próżnych poszukiwaniach upłynęły. Rodzice młodéj dziewczyny mniemali nareszcie, że udała się może do jakiego klasztoru odległego. Sami bez pocieszenia, ale przytomniéjsi, usiłowali kochanka jéj, którego strata ta w zupełnym smutku pogrążyła, pocieszać i nadzieją ożywić. Za nadto o miłości dziewczyny przekonany, ażeby ją niewierną mógł mniemać i zbyt dobrze znający skłonności jéj serca, ażeby sądzić mógł, że przeniosła życie klasztorne nad połączenie się z nim, co dawno było najgorętszém jéj życzeniem, obstawał przy tém tylko, że zapewne jakiś niegodziwiec musiał ją wykraść i zatrzymuje. Wprawdzie nie miano śladu najmniej-

szego o tém, jednakże ufał głosowi tajemniczemu, który mu przeczucie to poddał.

Czas postu zbliżył się. W Polszcze pobożni czas ten skrusze poświęcając, spowiadają się sumiennie ze wszystkich grzéchów, jakie sobie mogą przypomnieć. Panna służąca zniknionéj, któréj smutek ogólnie stracie pani przypisywano, sumieniem spowodowaną została, wyspowiadać się księdzu z prawdziwéj przyczyny dręczącéj ją trwogi. Wyznała, że uwiedziona złotem i przyrzeczeniami pewnego majętnego i znakomitego oficéra rossyjskiego, tudzież groźbami jego zastraszona, córcę państwa swojego dała upajający trunek, przezco taż bez oporu poddała się miłości oficéra, który przysięgą zobowiązał się pojąć ją za małżonkę. Z przerażeniem wewnętrzném słuchał szanowny kapłan tego straszliwego wyznania. »Obowiązek mój,« rzekł, »zakazuje mi wydać wyznanie twoje, ale rozgrzeszenia dać ci nie mogę. Chceszli na przebaczenie od Boga zasłużyć, idź natychmiast do tych, których tak srodze zmartwiłaś, rzuć się im do nóg, wyznaj zbrodnią twoję, staraj się obudzić ich litość, przyczyń się do odszukania panny, a Bóg nie odtrąci cię od siebie. Jeżli zaś radą moją wzgardzisz, pomniéj na to, że wieczne potępienie cię czeka.«

Groźba podobna silniéj działała, jak bojaźń praw i kary. Obraz piekła w widoku tak przerażającym stawił się przed zbrodniarką, że usłuchała rady kapłana, lecz do wyznania obrała czas właśnie, w którym i wykradziciel był przytomny. Dawno już dom gościnny widywał go pod swoim dachem, dokąd go wdzięki pięknéj Polki nęciły; atoli życzenia i zazdrość swoję umiał zawsze ukrywać płaszczykiem obojętności. Odtąd nawet, gdy wykradł córkę, nie przestawał bywać w domu jéj rodziców, i tak zręcznie umiał zmyślać ubolewanie nad losem familii, że dotąd ani cień podéjrzenia nań nie padł. Za miéjsce ukrycia ofiary swojéj obrał w saméj istocie klasztor, gdzie przemocą utłumiano krzyk nieszczęśliwéj dziewicy, o pomoc wzywającéj.

Gdyby był piorun pośród familii uderzył, mniéj byłaby przerażoną, jak w chwili, gdy służąca Rossyjanina oskarżała. Korzystając z przerażenia powszechnego zawołał z udaną wściekłością: »Nędznica, oskarza mię, ale jakichże świadków przeciw mnie stawić może?« — Boga!« — odrzekła nieszczęśliwa — »którego miłosierdziu polecam się. Przysięgniéj panie, że jesteś niewinnym, a jeżli ośmielisz się na to, nie miéjcie państwo żadnego względu na mnie, żadnego ze mną miłosierdzia, tylko męczcie, dręczcie mię, dopokąd niewinnego życia mojego nie wyzionę. Ale sąd nieba nareszcie dosięgnie cię panie i niepozyskasz zbawienia twéj duszy. Pomniéj na to!«

Złoczyńca uważając, że pomieszanie jego byłoby go zdradziło, rzekł zatém: »i gdyby to w saméj istocie prawdą było, czyliż tak wielki występek popełniłem? Miłość moja przeszkody miała, usunąłem je przeto. Bogaty jestem, dobrego urodzenia i mam godność znakomitą; wiele familij więc uważałoby za honor największy, wejść w związki ze mną. Dajcie mi wćpaństwo rękę córki swojéj, a wszystko, co się stało, zagładzone zostanie.«

Przytomny oficér polski dłużéj wstrzymać się nie mógł. Z największym gniewem dobył pałasza, i byłby wykradziciela na miéjscu porąbał, gdyby był tenże szczęśliwie nie ratował się ucieczką

Jakże tu zemstę zaspokoić? Na prawa ani mógł, ani chciał się spuscić. Miałże popełnić zabójstwo?.. straszny środek; ale ci, których serce rozdarte jest cierpieniami rozpaczy i ranami niezagojonémi żalu, którzy bez powrotu już utracili dobro największe życia swojego, ci usprawiedliwią myśl taką. Są chwile w życiu ludzkiém, gdzie najlepszy nawet namiętnościom swoim oprzeć się nie może, a kto sztyletem przebija pierś nieprzyjaciela, często mniéj jest winny jak ten, co szatańską radością przeciwnika do rozpaczy przyprowadza. Pośród tych wybuchów namiętności wyzwanie od Rossyjanina przywiózł Kozak oficérowi polskiemu. Na miéjsce pojedynku obrano las o mil cztéry od Warszawy odległy; Polak miał bić się za tę, którą kochał z całym zapałem duszy — jutro były imieniny jego, przyjął więc wyzwanie z radością.

Spokojnym był odtąd. Ufając sprawiedliwości boskiéj, od niej zwycięztwa dobréj sprawy swojej oczekiwał. Dwóch dawnych towarzyszów broni miało mu sekundować. Noc zdawała mu się długą, jak wieczność. Długo przed czasem osiodłano konie i próbowano pistolety, czy w dobrym są stanie. Nareszcie odjechano i przybyto na miéjsce przeznaczenia. I Rossyjanin słowa dotrzymał; już był z sekundantami na placu.

O ośm kroków od siebie zatknęli pałasze w ziemię, a oddaleni od nich przeciwnicy, każdy z pistoletem w ręku, mieli zbliżać się ku sobie, aż do oznaczonéj odległości, a potém strzélać według upodobania. Rossyjanin pierwszy wystrzelił, a kula przeszyła pierś przeciwnika jego. »Nędzniku!« — zawołał Polak — »jeszcze mam dość siły do zadania ci śmierci.« Ale okrutny a oraz bojaźliwy Rossyjanin, dosiadł konia, rozśmiał się szyderczo i popędził w galopie. Sekundanci tym jego postępkiem w najwyższym stopniu oburzeni, mówili do sekundantów rannego: »Daléj, pędźmy za nim, to nie jest człowiek honorowy, wyrzekamy się go!«

Nie długo zatrzymywali się, także przypuścili konie i w krótce powróciwszy z zakrwawionémi orężami donieśli przyjacielowi swojemu, że niegodny żyć przestał.

Oberza, przez żyda trzymana, znajdowała się w pobliżu; do niéj więc zawieziono rannego Polaka, aby przynajmniéj umrzéć mógł na miększém, jak ziemia, łożu. Po gwałtownéj boleści osłabienie nastąpiło; dwa tylko nazwiska, jedno drogie, drugie nienawidzone, wykradały się ni -kiedy z ust umiérającego, sprawując konwulsyjne poruszenia. Tym sposobem przeszło godzin szesnaście, ale chwila każda zdawała się być ostatnią nieszczęśliwego. W tém nie zwykły hałas raz jeszcze obudził go do życia.

Idący przez las włościanie, znaleźli oficéra rossyjskiego w śniegu, okropnie pokaléczonego, ale dostrzegli w nim jeszcze iskrę życia. Zrobiwszy więc nosze z gałęzi zanieśli go do domu, w którym przeciwnik jego umiérał. Ten jęczeniem Rossyjanina obudził się z letargicznego snu, poznał natychmiast głos nieprzyjaciela, a wściekłość i rozpacz, jak gdyby czarodziejstwem, wszystkie mu siły powróciła. Wstał i rzekł do przyjaciół, siedzących przy jego łożu: »Oszukaliście mię!.. On nie umarł!« Jeden z przyjaciół wyszedłszy do drugiéj izby, wrócił i doniósł: »Onto jest,« rzecze, »ale w jakimże stanie! sam ubolewałbyś nad nim! O zemście nie powinieneś już myśléć!« — »Ja nié mam myśléć o zemście? Przekonacie się zaraz!« Wypadł z pałaszem do przeciwnika, leżącego w drugiéj izbie, stojących koło niego odpędził, w samo serce pchnął orężem, lecz sam od tego gwałtownego natężenia osłabiony zupełnie, padł nie żywy na ziemię.

Któżby wierzył, że, po tylu ranach, życie oficéra rossyjskiego jednak ocalone zostało. Żył jeszcze z dziesięć łat, ale to przedłużenie życia było tylko dla niego pasmem niesłychanych cierpień. Prawie nie jak człowiek wyglądał, tak był okropnie pocięty. Żyjąc samotnie w wiosce swojéj koło Petersburga, unikał spojrzenia wszystkich i nawet własnych sług się lękał. Nie wiadomo, co go tak bardzo poruszało, ale rzeczą jest pewną, że dwukrotną zdradę swoję drogo zapłacił. Dwaj Polacy, świadkowie téj sceny okropnéj, opuścili ojczyznę, bądź dobrowolnie, bądź z musu; albowiem nie słyszano o nich więcéj. Młoda dziewica rodzicom powróconą została.

(Z pisma niemieckiego *Luna* na r. 1831.)

Noc pełna trwogi.

Konie dwóch oficérów francuzkich z wielką tylko trudnością po wertepach Kalabryi brodziły. Jeden z nich doradził, ażeby jechać ścieszką, która była i krótszą i lepszą; drugi jechał za nim, ale nie najchetniej. Jak długo dzień był, szukali drogi przez chaszcze; ale im więcéj szukali, tym bardziéj jeszcze w las zapędzali się, a gdy noc zapadała, dostali się nareszcie do pewnego domu, tak jednak, jak noc ponurego. Nie bez trwogi zleźli z koni i weszli do domu. Rodzina węglarzy siedząca u stołu, prosiła gościnnie, by z nią razem usiedli. Zrobili wezwaniu jéj zadosyć, jedli, i pili,

a szczególnie młodszy z wielkim apetytem. Drugi oficér przyglądał się z boku twarzom gospodarstwa; wyglądali wprawdzie na węglarzy; ale dom wewnątrz jakąż miał postać! Nic w nim nie było, tylko same strzelby, pistolety i szable! A młody oficér! jakże nierozważnie śmiał się i żartował! Po cóż opowiadał, kto oni są, zkąd jadą i dokąd! Po cóż grał rolę bogatego i obiecywał zapłacić, co tylko zechcą, byle mu na rano o posłańca wystarali się! Po cóż tak wielką baczność dawał na swój tłumoczek i kazał go sobie na łóżko, miasto poduszki, położyć! Nié ma co mówić, wielkie zawiérał skarby, cały pęk listów od kochanki!

Po wieczerzy zaprowadzono wojowników po drabinie do komórki na strychu; tu spać mieli, a komórka ta była z resztą składem żywności. Oficér młodszy rzucił się na łoże i zasnął jak kamień, drugi ostrożniejszy nie spał i czuwał. Może była jeszcze godzina do dnia. Cicho było w całym domie. Nareszcie słychać było wyraźnie, jak gospodarstwo wstawali na dole i coś mówili. Oficér wstał także, przyłożył ucho do komina, wychodzącego z izby dolnéj i słyszał dokładnie, jak gospodarz mówił do żony: »No jakże sądzisz, czy obu zabić?« — »Obu, obu koniecznie!» odpowiedziała gospodyni. Krew ścięła się w żyłach. Prawie bez broni znajdował się w domu, napełnionym ludźmi obcymi; na dole dwa brytany wyły, jak wilki, a kolega jego spał, jak zabity! — Nastąpiła długa, okropna przerwa. W tém coś zaczęło léźć po drabinie, nareszcie ukazał się gospodarz, w jednéj ręce z lampą, w drugiéj z ogromnym nożem. Otworzył drzwi: »Trzymaj lampę,« rzekł z cicha do żony. Boso, na palcach przechodząc koło oficéra, który ukrył się za drzwiami, zbliżał się do łóżka drugiego oficéra, dobył noża i odciął — kawał słoniny, na ścianie wiszącéj. Jak wszedł cicho, tak i oddalił się. Ale cóżto znaczyć miało, co o zabiciu mówił? Gdy Francuzi nazajutrz, pełni myśli najlepszych z powodu nocy spokojnie przespanéj, na dół zeszli, zastawiono im śniadanie z dwóch kapłonów złożone. Gospodarz chciał jednego tylko zabić, ale żona radziła, ażeby drugiego dać oficérom na drogę. Teraz dopiéro wyjaśniła się rozmowa ich, kapłony miały być szpikowane słoniną; dla tego tak cicho szedł po nią gospodarz, ażeby gości nie obudził.

Kungdso, mędrzec chiński.

Kungdso (po naszemu Konfucyjusz) będąc raz w podróży, zdybał dwóch chłopców, mocno kłócących się z sobą. Konfucyjusz spytał ich, dla czego tak się kłócą. Na to rzekł jeden z chłopców: »Ja utrzymuję, że słońce przy wschodzie bliżéj jest człowieka, jak o południu.«

Drugi odrzekł: »A ja mniemam, że słońce o południu jest daleko bliżéj od nas, jak kiedy wschodzi.«

Konfucyjusz zapytał ich: »Czy mają czém wnioski swoje dowodzić?«

Jeden z chłopców odrzekł: »Jak słońce wschodzi jest tak duże, jak koło od wozu, a jak stanie na środku nieba, to nie jest większe, jak talérz, przeto co większe nam się wydaje jest bliższe, a co mniéjsze dalsze być musi.«

Drugi zaś chłopiec odpowiedział na to: »Dobrze, ale jak słońce wschodzi, to bardzo zimne, gdy zaś do środka biegu swojego dostanie się, to wtedy gorące jak woda kipiąca, nie jestże więc to, co jest gorące blizkiém, a co jest zimne oddaloném?«

Konfucyjusz nie mógł sporu roztrzygnąć, a chłopcy śmiejąc się z niego, mówili: »to mi wyśmienity mędrzec!«

Gdyby był Konfucyjusz wiedział o tém, że świéca piecze wtedy, gdy nad nią trzyma się rękę, a bynajmniéj nie piecze, gdy się ją z boku trzyma, byłby roztrzygnął spór chłopców i nie byłby od nich wyśmianym.

(Z dzieł filozofa chińskiego Laodso.)

Pani Genlis.

Pani Genlis umarła. Jeźli grzecznemu Monitorowi wierzyć można, miała lat 83 gdy wychowanek jéj na tron wstąpił, i z radości odmłodniała. Od lat piętnastu zupełnie oddaliwszy się od towarzystwa ludzi,

teraz w niém na nowo wystąpiła. Będąc guwernantką w domu Orleanów, była niegdyś gorliwą zwolenniczką rewolucyi i odwiédzała klub Jakobinów. W Altonie zajeżdżała do oberzy, któréj właściciel miany był za najgorliwszego zwolennika rewolucyi francuzkiéj. Pod Napoleonem miała wolne pomieszkanie w zbrojowni paryzkiéj. Potém oddała się dobrowolnie pietnastoletniéj pokucie i pisała dzieła pobożne. Z d. 8. sierpnia r. 1830 ustała pokuta; p. Genlis znowu została taką, jak dawniéj, to jest młodą i wesołą, celowała w towarzystwach, robiła zwycięztwa i pisała pamiętniki. Gdy nie dawno na wieczorze pewnym przedstawiony jéj byłem, przepraszała, że wstać nie może i twierdziła, że ma lat 84. Nim uścignąłem nie uwierzyć twierdzeniu jéj, z szybkością i ogniem, nad którym zdumiałem się, opowiedziała kilka anekdot i wszystkich przytomnych do głośnego pobudziła śmiéchu. Nikt nie może odmówić talentu pismom téj pani; ale z nią rzecz miała się inaczéj, jak z innémi autorami; daleko lepiéj mówiła, jak pisała. Gdym chciał rozmowę na dzieła jéj skierować, przerwała mi i rzekła gorliwie: »Mój panie, nie popełniłam żadnego plagiatu.« Zarzucano jéj bowiem, że popełniła raz kradzież literacką z dzieła ks. Ganchat o religii. Odtąd znajdując się w najprzyjemniéjszych i w najnieprzyjemniéjszych stosunkach, nigdy zapomniéć nie mogła zarzutu tego, którego wspomnienie ciągle ją prześladowało. Rzeczą jest ważną, że pewien dworzanin radził Ludwikowi XVI., by następcę tronu przez p. Genlis wychowywać kazał; Ludwik XVI wyśmiał go.

Instytut Jabłonowskiego w Lipsku.

Naukowy instytut Jabłonowskiego w Lipsku był piérwotnie w Gdańsku, i dopiéro roku 1769 do Lipska przeniesiony został. Uposażony dostatecznym funduszem, zadaje pytania naukowe i nagrody za najlepsze pisma odpowiedne wyznacza. Rodzina książąt Jabłonowskich w wieku 17. waleczna, szczególniéj w piérwszéj połowie 18. naukami trudniła się. Mieliśmy kilku uczonych książąt Jabłonowskich, których tu wspomniéć może nie od rzeczy będzie.

Jabłonowski Jan Kajet., wojewoda bracławski, żyjący około roku 1740. Tłómaczył z pisma ś. wiérszem: *Księgi Ester, Judit i Zuzanny* i wydał we Lwowie roku 1747, (in 4to st 284. Bibliot. Ossoliń). Od Filipa V. króla hiszpańskiego, mianowany był grandem Hiszpanii i miał order złotego runa, a od cesarza Karola VI. obrany był jenerałem feldzeugmejstrem.

Jabłonowski Józef Alexander, także mąż światły, którego dzieła rozmaite wiadome są znawcom literatury polskiéj. Był wojewodą nowogrodzkim i umarł r. 1776. Jego jest: *Ostafi po polsku, Eustachius po łacinie, Placyd po świecku.* (Dzieło wiérszem napisane, wydane in fol. w drukar. tutéj. brackiéj r. 1751. Na początku znajdują się biblijograficzne wiadomości Załuskiego. Bibl. Ossoliń.) Pisał także dzieła łacinskie. Od pfalzhrabi Karola Filipa Teodora miał order ś. Huberta, a cesarz Karol VI. mianował go księciem rzeszy niemieckiéj. Byłto pan lubiący przepych i okazałość w stroju.

Jabłonowski Stanisław Winc., wojewoda rawski, umarł d. 25. września r. 1754. Dzieło jego: *Tacyt polski* wyszło w tutéjszéj drukarni jezuickiéj r. 1744. Pisał i inne dzieła, które nie tu, ale do biblijografii należą; (ob. Juszyńskiego i Bentkowskiego). Miał order ś. ducha od Ludwika XV. króla francuzkiego. Byłto mecenas uczonych wieku swojego i jemu wyżwspomniony instytut naukowy istnienie swoje winien. S. L. J.

WIADOMOŚCI ROZMAITE.

— *Z Konstantynopolu.* —

W Konstantynopolu wiele się zmieniło! Trant, podróżny francuzki, w roku zeszłym miał szczęście grać ecarte z kapudanem-paszą; przy uczcie pili magnaci szampańskiém winem zdrowie króla francuzkiego, a na obiedzie u hr. Guilleminot z wielkim apetytem zajadali szynkę. Pułkownik gwardyi sultana do upadłego tanczył kotylijona na bale, a niezakwefione damy tureckie były przytomne balowi na galeryi, w krótce zapewne wspólnie bawić się będą. Poncz piją Turcy bez miary, a pewien z najznaczniéjszych paszów ukazywał Francuzom w pewnym pawilonie ogrodu swego całą piramidę z flaszek ramu i cytryn. *Mutantur tempora...!*

— *Z Persyi.* —

Znowu w Persyi padała manna. Wielka przestrzeń ziemi była nią pokryta, a w niektórych miejscach z 10 calr wysoko. Trzodom bardzo miłém była pożywieniem, a chléb, który z niéj pieczono, był bardzo smaczny i pożywny. Już w roku 1829 próby manny, która padła była roku 1828, rozbiérano w paryzkiéj akademii; pokazało się, iż to jest znany już nawet rodzaj mchu, który Bóg wié zkąd, w takiéj ilosci w owe strony od wiatru zanięsionym bywa. W roku 1824 tóż samo trafiło się w Persyi. Wiémy także o podobném zdarzeniu w wieku 16tym, a w onczas, jak dziejopisowie mówią, bardzo wielu uratowała życie, bo właśnie straszny głód panował.

— *Z Rossyi.* —

Wzorowe poezyje angielskie, stają się teraz i u Rossyjan ulubionemi. Iwan Kozłow, poeta rossyjski, w zbiorze pism swoich, wydanym w Petersburgu, umieścił wiele trafnych tłómaczeń najpiękniejszych miéjsc: Byrona, Skotta i Moora, i wiele własnych poezyj, szczęśliwie naśladując tych mistrzów.

W Rydze wynaleziono armaty, które same się nabijają. Z obrotem kół połączona jest taka maszyneryja, iż za pociśnieniem jéj, nabija i wystrzela równie prędko. To tylko jest wadą tychże, iż nie można ich strzałom dać dowolnego kierunku.

W Rossyi w pewnym szpitalu klasztornym wiele zastaliśmy chorych, (opowiada pewien podróżny). Gdy spytaliśmy się o doktora, pokazywali obraz, wiszący w kącie: „To jest nasz lekarz," mówili, „jeżli ten zechce, byśmy ozdrowieli, pewnie wyjdziemy, a gdy zechce byśmy pomarli, któryż lekarz podoła nas uzdrowić?" — Gdyśmy na to zapytali, co czynią gdy kto nogę złamie? „Jeżli Bóg zechce," odpowiedzieli, „to się ona zrośnie znowu."

— *Z Wiednia.* —

Porteuszlag, redaktor dziennika wiedeńskiego, „Zbiéracz" *(der Sammler)*, już w roku 1828 umarł, a dotąd na dzienniku jako redaktor figuruje. Miałżeby duch być redaktorem tego dziennika? —

— *Z Niemiec.* —

Jakowyś p. Oehler w Lipsku, robi teraz z wełny hiszpańskich owiec szale, które zupełnie nie ustępują tureckim i perskim. Największy waży tylko 3/4 funta i daje się przeciągnąć przez pierścionek.

W Waldmünster w Bawaryi pewien włościanin złapał jaskółkę, która do gniazda, będącego na jego domu, dwa roki już wracała, i kazał jéj szyję ubrać w złotą obrączkę z literami J. G. Dwunastego kwietnia tego roku powróciła ptaszyna znowu, mając na szyi przydany sobie drugi obręczyk złoty z napisem arabskim. Zjawisko to dla badaczów przyrodzenia nie może być obojętném.

Nie dawno umarł w Brunswiku dyrektor tamtéjszego teatru, zaszczytnie jako poeta i autor dramatyczny znany dr. August Klingemann. Między innémi z jego w polskim języku wystawianych sztuk dramatycznych, wyszczególnia się trajedyja: Faust. (Przerobiona dla sceny z Göthego.)

— *Z Francyi.* —

Wydano niedawną w Paryżu nową edycyją słownika *de l'Academie*, z dodatkiem 11,000 słów nowych zawiérającym, którémi od r. 1794 język francuzki wzbogacony został.

Na jedném z tegorocznych posiedzeń towarzystwa filotechnicznego w Paryżu grał p. Sowiński, muzyk polski, marsza polskiego na fortepianie, który zrobił na wzór sławnego marsza marsylskiego. Artysta był w uniformie paryzkiéj gwardyi narodowéj.

Tamże wyszła maleńka książeczka, pod tytułem „Amazonki" w któréj autor dowodzi z filozoficzną przebie głoscią, że ludzie, bez różnicy płci, równe mają prawo do korzystania z przyjemności życia, i że wyłączne używanie mężczyzn do służby wojskowéj przeciwne jest prawu natury. Nie ma bynajmniéj żadnego powodu, dla czegoby płeć niewieścia od niebezpieczeństw wojny wyłączoną być miała. Ludy po między sobą zawarły wprawdzie niejako polubowną ugodę, by kobiety zostawić pewnemu odosobnieniu i nieczynności, a bez wątpienia z zazdrości lub dumy mężkiéj, wyłączyły je od każdego czynnego wpływania do wypadków życia. Zniewieściałe to życie kobiét miało wpływ zgubny na osłabienie ich ciała. Gdyby w wychowaniu płci niewieściéj od młodu kształcenie umysłu z gimnastycznémi cwiczeniami ciała połączone było, kobiety po kilku pokoleniach odzyskałyby siły ciała i duszy, i w stanie bezżennym dzielićby mogły z mężczyznami trudy i niebezpieczeństwa wojny.

W Paryżu sprzedają skrzypce *à la Paganini*, których głos ma być podziwiający. Drzewo, z którego są robione, tak jest delikatne, iż do swiecy przejrzeć je można. W tém przezroczu ukazuje się, nie wiedzieć jak sporządzony tamże, ale dokładnie trafiony portret Paganiniego. Skrzypce takie kosztują 300 franków.

— *Z Anglii.* —

Na ostatniém posiedzeniu król. azyjackiego towarzystwa w Londynie, znajdowali się dwaj sławni, bawiący teraz w Anglii Azyjaci: Bramin indyjski Raja-Ram-Mohun Roy i Seyd-Khan, ajent królewica perskiego Abbas-Mirzy. Obu mianowano członkami honorowymi towarzystwa.

Po między uczonymi, którzy nie dawno starali się o miéjsce członka w kolegium ś. Trójcy, przy wszechnicy oxfordzkiéj, pierwszeństwo zyskał p. Hamilton, ślepy z urodzenia. Młody ten człowiek, biegły w językach klasycznych, jak i we wszystkich gałęziach literatury, komisyją badawczą zadziwił w najwyższym stopniu zbiorem wiadomości swoich. Rozgałęziona umiejętność z urodzenia ślepego człowieka przewyższała wszelkie oczekiwanie. P. Hamilton tak niezmierną uposażony jest pamięcią, że raz tylko potrzebuje słyszeć przeczytaną książkę, ażeby co do słowa treść jéj powtórzył.

Znany uczony angielski, Buckingham, wydawał przed trzema latami dziennik: *The Argus*, który miesiąc tylko trwał. W nim umieszczał dziwne nowinki, o których nikomu nawet nie śniło się. Wiele tychże spełniło się później, jak gdyby duchem proroczym przewidzianych. I tak wtedy, kiedy nikt nawet o tém nie myślał, nazwał Brougham'a lordem-kanclerzem, Karola X. byłym królem Francyi, a kiedy żadne jeszcze domysły nie mogły być o rewolucyi w Polszcze i o wojnie tejże z Rossyją, on wyrzekł: „Anglii, Austryi i Francyi uda się pięcioletnią wojnę (!) ukończyć, i skłonić cesarza Mikołaja do uznania niepodległości korony polskiéj." *(Mnem.)*

— *Z Ameryki.* —

Chléb jest w wielu okolicach Ameryki południowéj przedmiotem zbytku. Widać tam często właścicieli ogromnych trzód, których żony od stóp do głowy perłami i brylantami są upstrzone, ale chleba zaledwie kosztowały kiedy.

Sprostowanie.

W Nrze. 29. z dnia 22. lipca b. r. na stron. 230 w przypisku zamiast Χολγ, czytaj: Χολη. — Na stron. 231 w przedziałce 2. w wierszu 32. z góry zamiast, różnego wieku i płci 45, czytaj: 54; wyrażnie pięćdziesiąt i cztéry.

Redaktor, Mikołaj Michalewicz. — Drukiem Piotra Pillera.